

*Jerzy Krzywik Kaźmierczyk*

**Były dancingi  
i grały orkiestry  
w mieście Łodzi**

**Opowieść o muzyce,  
knaipach i nocnym życiu PRL-u**

Projekt okładki:  
Wojciech Miatkowski

Korekta:  
Katarzyna Bernacka  
Katarzyna Dygudaj  
Justyna Porczyk

Skład:  
Paweł Szewczyk

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2010

Książki wydawane przez **Księży Młyn Dom Wydawniczy** mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy utrwalać i rozbudzać zamilowanie mieszkańców swymi „małymi ojczyznami”.

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysły na książki związane z **miastami, regionami** oraz **tematami komunikacyjno-transportowymi**. Prosimy także o kontakt osoby posiadające zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.



*Książki dla ludzi ciekawych*

ISBN 978-83-61253-86-0

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński  
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14  
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02  
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms)  
gg: 4147954  
www.ksiezy-mlyn.com.pl; e-mail: biuro@ksiezy-mlyn.com.pl

Łódź	rok:	2013	2012	2011	2010	ostatnia					
Wydanie I	rzut:	9	8	7	6	5	4	3	2	1	liczba

*Mojej Danusi.*

## ***Spis treści***

O czym są te opowieści? .....	7
Muzycy, muzykanci i klezmerzy .....	9
Od początku do końca .....	20
Kurzy grajek.....	50
Żeby nie te szczury! .....	61
W „Ustroniance” nad Bałtykiem.....	70
Dickens w drapaczu .....	74
Dwie orkiestry.....	77
Anioł w kaszance .....	81
Łódź na Piotrkowskiej .....	86
Między królami.....	99
Pamiętnik z kontrabasu.....	101
Orkiestry rodzinne .....	125
Spotkania.....	131
Pol, nastroje i ub .....	141
...Póki my żyjemy .....	146
Sunny jazz.....	149
Werbel .....	154
Humppa w Wenecji .....	167
Postscriptum.....	171
Zakład .....	177
Lemoniada z gazem .....	185
Jazzband w halce.....	192
Przybieżeli do... ..	197
Rybak .....	200
Theo w „Malinowej”.....	206
W „Grandce” na dancingu .....	214
Do tańca grali... ..	221
Tu grała kiedyś muzyka .....	226

## **O czym są te opowieści?**

*O tym jak muzycy, muzykanci i klezmerzy na risdum, ale i z nut, a jakże, obgrywali chałtury w mieście Łodzi, ale też o tym, jak umarli dancingi i odeszli w niebyt danserzy. Opowiem też, jak po 1945 roku Łódź w swoich restauracjach, przy najlepszych w kraju orkiestrach, podejmowała i bawiła gości.*

*Nie będzie to historia z datami, faktograficznie udokumentowana. Będą to raczej fragmenty wspomnień muzyków, co w tych lokalach muzykę restauracyjną grali, jak i opowieści przekazane im przez starszych kolegów, którzy już dawno w orkiestrach niebiańskich muzykują. Szkoda, ażeby mrok zapomnienia objął ciekawy, pod każdym względem, fragment naszej łódzkiej historii. Historii muzyków, muzykantów i klezmerów oraz miejsc, gdzie grali, wspominanych z sentymentem przez nich samych, ale i przez nas – łodzian, a także przez gości ze świata, którzy niejedną noc przetańczyli na łódzkich dancingach.*

*Jak to ongiś w knajpach bywało, siadali muzycy w czasie przerw, w kanciapie na wysłużonych fotelach i wspominali, plotkowali, snując więc klezmerskich wspomnień o zwykłej muzykanckiej egzystencji, osładzając ten gorzki przekładaniec opowieściami śmiesznymi do łez, ale i rumieńcem po pikantnych szczegółach.*

*Uchylimy rąbek estradowej tajemnicy. Niech toczy się opowieść o tym, jak muzycy...*

*Jerzy Krzywik Kaźmierczyk*

## ***Muzycy, muzykanci i klezmerzy***

To najbardziej rozpowszechniony i popularny podział, jakim posługują się Ci, co muzyków, muzykantów i klezmerów słuchają. Jakby ich nie nazywać – wszyscy są muzykami. Muzyk, muzykant i klezmer to przecież nigdy nie były oddzielne zawody ani różni ludzie. To mógł być ten sam człowiek, ale w zależności od miejsca, czasu i... pieniędzy bywał jednym z tych trzech. Muzykiem – kiedy grał w orkiestrze miejscowej opery. Gdy w wolne dni w kapeli ludowej znanego zespołu pieśni i tańca wygrywał oberki, wtedy przezywali go muzykantem, ale za to załapywał się na wyjazdy do innych krajów – nawet kapitalistycznych. W tym okresie była to korzyść podwójna. Turystyczna – atrakcyjna wielce w tych złych czasach, w których nie każdy i nie zawsze mógł wyjechać za granicę, a muzyk z zespołem mógł! Oraz korzyść handlowa – oczywista. Zaoszczędzone diety dolarowe i drobny handelek przemycaną w trąbie polską Wyborową i suszonymi grzybami dawał zys kilkumiesięcznych pensji artysty muzyka w PRL-u. Klezmerem też bardzo chętnie bywał. Zastępstwa w zespołach muzycznych miejscowych knajp były finansowo, ale i towarzysko, bardzo atrakcyjne. Ta forma, czyli muzyk, muzykant i klezmer w jednej osobie, uwidoczniła się szczególnie w gospodarce socjalistycznej. Aby żyć, trzeba było chałturzyć. Jedna pensja, zwłaszcza ta z filharmonii, nie wystarczała.

### **Muzycy? Jeżeli tak się mówi, to już wiadomo kim są?**

Muzycy to ci z orkiestry filharmonicznej lub miejscowej opery. Często dodaje się jeszcze określenie „poważni”. Ci z miejscowej operetki już jakby tej powagi ciut mniej posiadali. Wszyscy inni, którym nikt batutą przed nosami nie macha, to oczywiście też muzycy, ale... rozrywkowi. Stoją oni w cieniu tych „poważnych”. Za to w apanażach za wykonaną pracę już nie w cieniu, ale w pełnym blasku większej forsy grają muzykę rozrywkową. Dlaczego? Po prostu umieją lepiej od tamtych grać rozrywkowo. „Poważni” są świetni

w orkiestrze symfonicznej, wymagającej specjalnej kultury grania. Tak się ułożyło i samo życie wybierze odpowiednich muzyków do odpowiedniej muzyki, a my słuchacze różnie ich tylko nazwiemy.

### **W takim razie, czy jest sens dzielenia muzyki na poważną i rozrywkową?**

Nie ma! Każda z form muzyki może należeć do tych kategorii. Nie ma muzyki poważnej i muzyki rozrywkowej. Taki podział jest sztuczny, choć werbalnie funkcjonuje. Jakiś żartowniś zapytał: „A może jest poważna muzyka rozrywkowa?” Jest! Jeżeli jest poważnie traktowana. Muzyka rozrywkowa powinna być grana z należyłą powagą. Można powiedzieć, że muzyka jest tylko jedna: dobra lub nie. Rodzą się jednak dalsze pytania. Dla jednego dobra, a dla drugiego nie? Jest jakaś miara? Może ważniejsze jest, co kto lubi? Uczmy się słuchać, korzystając z pomocy krytyków sztuki i znanych muzyków. To żaden wstyd, że w tej chwili bardziej lubimy muzykę łatwą i miłą dla ucha. Słuchajmy! Za rok i jeden dzień spodoba nam się Mozart, a następnie cała muzyka klasyczna. W kulturze europejskiej powstały formy muzyczne oraz wykształciła się estetyka muzyczna obowiązująca na całym świecie i taką muzykę nazywamy klasyczną, z dumą dodając – europejska muzyka klasyczna.

Każdą muzykę skomponowano po to, aby ludziom sprawiała przyjemność, aby była dla nich rozrywką, bo cała muzyka, bez wyjątku, jest rozrywką. Ma cieszyć, bawić i wypełniać ludziom wolny czas, a jak niekiedy nas wzruszy, to dobrze, bardzo dobrze! Dzielenie i segregowanie muzyki oraz różne jej nazywanie to jedynie skróty myślowe, ułatwiające werbalną komunikację między ludźmi.

Osoby grające smutno, poważnie i ani trochę rytmicznie, nie tak „pod nogę”, jak mówią na Bałutach, i do tego jeszcze z jakimiś bemołami w zapowiedziach nazywamy muzykami poważnymi, a muzykę przez nich graną – muzyką poważną. Grających skoczne kawałki, takie do tańczenia, śpiewania i gdy grający przytupuje sobie nogą do taktu – nazywamy muzykami rozrywkowymi. I oni właśnie muzykę rozrywkową grają. Proste? I tak już chyba pozostanie, bo taki podział utrwalił się w świadomości i jest powszechnie akceptowany.

Muzykanci nie podlegają żadnej klasyfikacji, a ich rodowód jest banalnie prosty. Mniej za młodu z instrumentem mieli do czynienia, ćwiczyć im się nie chciało i teraz za mniejsze pieniądze grać muszą. Muzykant i do tego amator

jakiś. Nieudacznik, który nie umie grać i w paradę profesjonalistom wchodzi! Jak gra przeciętnie, jest amatorem, a jak ciut lepiej – zawodowcem. Ale są też wielce utalentowani muzycznie, fanatycznie zakochani w muzyce amatorzy. W większości przypadków to prawdziwie uduchowieni artyści. Dała im Bozia talent, ale nie dała czegoś tam więcej, aby w szkołach mogli nauki pobierać.

### **Co zrobić, aby grać?**

Na podwórku sąsiad gra na skrzypcach i ma wzięcie na weselach i chrzcinach, a więc do sąsiada. Ten za naukę ma stałą usługę szewską, bo tata ucznia jest szewcem. Uczy się zatem nasz Janko muzykant u miejscowego grajka. Uczy się pilnie. Musi umieć na pamięć ponad setkę kawałków, aby zagrać na weselu i zarobić jakiś grosz. Zarobić na chleb, ale bardziej dla potrzeby, bo muzykantowi coś w sercu i duszy grać każe. Później były przyfabryczne świetlice, gdzie nawet instrumenty i instruktora fabryka fundowała. Amatorskie muzykowanie stawało się łatwe i przyjemne – tym bardziej, gdy była za nie zapłata (na co czekali wszyscy amatorzy).

Bardzo cieniutka linia dzieli pojęcia amatorstwo i zawodowstwo. Czy amatorem jest ktoś grający za darmo? A jak mu czasem zapłacą, to zostaje zawodowcem? Dyplom szkoły muzycznej może czynić mistrza, ale czy daje również status muzyka zawodowego? Odpowiedź jest chyba jednoznaczna: jeśli utrzymujesz się z muzyki – jesteś zawodowcem.

### **Czy amator może być lepszy od zawodowca?**

Oczywiście! I tak się w życiu zdarza. Amator bywa też artystą. Musi urodzić się z tym czymś, co nazywamy talentem, ale jeszcze z jakąś wewnętrzną siłą (a może zewnętrzną?), która będzie go niosła na wyżyny przeżyć duchowych, zamieniając wrażliwość artysty w jego dzieła. To przecież amatorzy tworzyli w garażach zespoły i grali muzykę, która stała się częścią kultury duchowej. Najlepszym przykładem są czterej amatorzy z Liverpoolu. Własną gitarę basową miał tylko Paul McCartney. Perkusistą został jego najlepszy kumpel, czyli Ringo Star. Zawodu uczyli się w hamburskiej knajpie, ale wszyscy mieli talent i to coś, co pozwoliło im zrealizować marzenia. Najpiękniejszą muzykę do filmów skomponowali właśnie amatorzy! Przypomnieć należy chociażby Krzysztofa Komedę-Trzcńskiego. Słowo *amator*, pochodzące od łacińskiego słowa *amare*, czyli *kochać*, jednoznacznie wskazuje człowieka,



który kocha sztukę i muzykę. Właśnie tacy miłośnicy zbierają się w piwnicy i ćwiczą. Pierwsze grania – za darmo, w osiedlowym klubie młodzieżowym. Następne... już po 50 zł na zespół. W domu nagrywają wersję demo swojej muzyki, wysyłają i czekają. Jeżeli tak się zdarzy, że w ich sercach i duszach coś gra i mają pomysł na swoją muzykę, to stają się... zawodowcami. Amatorami są dzisiaj osoby grające w domach. Zbierają się i muzykują. Nie przeszkadzajmy im i nie pokazujmy ich w telewizji, bo natychmiast przejdą na zawodowstwo.

Są ci, co grać umieją i są tacy, którzy grają trochę gorzej, bez względu na to, czy są amatorami, czy zawodowcami. Nie każdy został obdarzony muzycznym talentem, choć bywa i tak, że ci obdarzeni nie wykorzystali swojego daru i w podłej spelunie dokonali muzycznego żywota.

Kiedyś muzyk restauracyjny to był ktoś! Panisko, którego sąsiedzi z kamienicy z zachwytem obserwowali i zazdrościli szyku, z jakim się obnosił. Zawsze był elegancko ubrany, ogolony, miał błyszczące buty i estradowy uśmiech. Obowiązywała wówczas pierwsza zasada prawdziwego artysty, który powinien być *obmyt, obryt i niemnoszko pijan...*<sup>1</sup> Umyty i ogolony – obowiązkowo tak! Następna reguła – niekonieczna, aczkolwiek dopuszczalna. Artystą był! Taki nigdy nawet śmieci nie wynosił. Nie wypadalo! Cała rodzina – żona, dzieci i rezydentka ciocia Zuzia – traktowała swojego artystę z należytym szacunkiem. Zawsze, bez względu na san trzeźwości!

Starzy muzycy restauracyjni odeszli grać w niebiańskich orkiestrach. Przyszli nowi, ale już nie tacy jak tamci. Ci „do roboty” idą! Na estradzie grają w codziennych ubraniach. Tamci w smokingu byli ubrani. Teraz to własna koba bita ci powie:

- *Wyrzuciłbyś śmieci!* (tak do artysty?)
- *Cholera, przecież dopiero co usiadłem.*
- *A co robileś dotychczas?*
- *Leżałem!*

Lud mówi, że są również muzycy i grajkowie: wiejscy, weselni, uliczni, a nawet pogrzebowi, no i są jeszcze klezmerzy. Neskim! To dopiero cudaki!

---

<sup>1</sup> z jęz. ros. – umyty, ogolony i troszkę pijany

## NESKIM

Dziwna nazwa, niespotykana w potocznym języku i nie wiadomo skąd się wzięła. Mało tego, nie bardzo wiadomo, co ona oznacza. Bardzo dobrze znają to słowo muzycy, muzykanci oraz klezmerzy i nadal go używają. Zwłaszcza ci starsi, grający niegdyś muzykę restauracyjną. Ale tu niespodzianka: znają to słowo również najlepsi jazzmani polscy – Michał Urbaniak i Zbyszek Namysłowski. Ten drugi wraz ze swoim zespołem „Jazz Rockers” nagrał utwór pt. *Neskim Blues*. Urbaniak podaje, że muzycy amerykańscy też mają swoje odpowiedniki tego słowa.

### Co zatem oznacza słowo *Neskim*?

Kiedy spotykają się dwaj muzycy, na przykład z instrumentami w rękach, mówią: „Neskim, zagrajmy to w B-dur.” Kiedy spotykają się przy bufecie mówią: „Neskim, dzisiaj nieźle sadziłeś w *Body and Soul*. Dobry jesteś!” Kiedy w sytuacji bardziej intymnej rozdzielają role: „Neskim, ty tę blondynkę, a ja zagrepsuję tę czarną? Neskim, ale ta ruda też jest dobra na ciow<sup>2</sup>!”

Tak mówią do siebie klezmerzy, nawet jeżeli widzą się po raz pierwszy. Reasumując, neskim to człowiek taki jak ja, kolega muzyk, kolega z branży, swój gość, swój chłopak, facet podobny do mnie, kumpel, kamrat, człowiek, na którego mogę liczyć. Niektórzy muzycy, jako że neskim jest rodzaju męskiego, rodzaj żeński określali słowem *neskimmula*. Muzycy amerykańscy na te wszystkie określenia używają słów: *man*, *pal*, *buddy*, a w słowniku *A Hepster's Dictionary* mają słowo – *buddyghee*.

Muzycy, muzykanci i klezmerzy posiadają jeszcze jedną tajemnicę. Znają pewną trudną melodyjkę, której nikt postronny nie może zagwizdać. Melodyjka jest bardzo przydatna i praktyczna. Jak mówi Michał Urbaniak: „Przyjeżdżało się do nieznanego miasta, pojawiał się jakiś problem, trzeba było szukać pomocy, więc szło się na plac i gwizdało synkopową melodię. Zawsze znalazł się jakiś muzyk albo słuchacz, który spytał: Neskim, w czym problem? – i bezinteresownie pomógł.” Żony i dzieci, a nawet przyjaciółki klezmerów, posługiwały się w sposób praktyczny znanym sobie sygnałem muzycznym. W wielkim tłoku, gdy zgubił się ktoś z kręgu muzyków, nie było problemu. Gwizdało się sygnał i swoi odnajdowali się natychmiast. Przypadkowo na tarasie Grand Hotelu w Sopotcie zadzwonił telefon, który leżał na stoliku. Od

<sup>2</sup> na ciow – do kochania



Niestety, miano klezmer nabrało negatywnej konotacji, bo tak zaczęto nazywać tych, co grają źle, bez uniesień twórczych. Graj człowieku całą noc w pijackim zgiełku, w oparach wódy i smrodzie petów gaszonych na resztkach śledzika i do tego w twórczym uniesieniu. Czysta głupota. Natomiast granie do kotleta schabowego, podawanego z zasmażaną kapustą kiszoną i kartofelkami, też lekko obsmażonymi, w asyście kufła zimnego piwa – to zupełnie coś innego. Takie danie wymaga hołdu i nad takim talerzem pięknie zagrany romans, ozdobiony przez klezmera szmoncesowymi zagrywkami, będzie należnym tego uniesienia uzupełnieniem.

Na przełomie XIX i XX wieku żydowscy emigranci przybyli do USA z Europy. Muzyka klezmerska powróciła w swej najlepszej formie: odświeżona amerykańską kulturą muzyczną, wzbogacona czystym folklorem amerykańskich Żydów, z dodatkiem charakterystycznego swingowania made in USA. Benny Goodman<sup>6</sup>, klarncista z kręgu chicagowskiej diaspory żydowskiej, uczynił z muzyki restauracyjno-klezmerskiej, którą wtedy nazywano jazzem, muzykę wielkich sal koncertowych i balowych. Bardzo fajnie wpasowała się również w zadymione restauracje. Wróciła, ale już uszlachetniona rzemiosłem i duchem wielu mistrzów, którzy klezmerskiej prostocie dodali szlify swojego talentu.

Oczywiście muzykę klezmerską najlepiej grali klezmerzy żydowscy, co wcale nie znaczy, że w takich kapelach nie było muzyków rozrywkowych innych narodowości. To działo się przecież w Łodzi, mieście zamieszkałym przez wiele nacji. Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie i Czesi żyli obok siebie, tworząc konglomerat kultur, widocznych i słyszalnych w trudach dnia codziennego, a wyraźnie zaznaczonych podczas świąt, radośnie i z muzyką obchodzonych przez każdą z tych społeczności. Z biegiem lat zaczęto muzyków (i to wcale nie w negatywnym znaczeniu) nazywać klezmerami. Nawet tych, co nigdy klezmerskiej muzyki nie grali. To taki wyraz uznania dla ogółu muzyków niekoniecznie zawodowych, ale pełną gębą profesjonalistów. Klezmerem, w obecnym rozumieniu, bywa się bez względu na to czy jest się muzykiem tzw. rozrywkowym, czy poważnym. Zależy to przede wszystkim od wysokości przyjętej zapłaty za... chałturę. Jak chałtura jest opłacalna to można być klezmerem. Klezmerzy, to w rzeczywistości muzycy o specyficznej mentalności, ale i szczególnych umiejętnościach odtwórczych. Oni potra-

---

<sup>6</sup> Benjamin Benny Goodman (1909–1986) – światowej sławy klarncista jazzowy, zwany królem swingu

fili zagrać wszystko. Jeśli zaszła taka potrzeba to również bez nut. Ale co to znaczy umieli grać wszystko? Oni po prostu grali na risdum!

## **RISDUM**

Słowo nieznanego pochodzenia, chociaż często używane właśnie w środowisku klezmerów żydowskich, z czasem również w całej rodzinie muzyków rozrywkowych. Obecnie słowo to, zwłaszcza dla młodzieży muzycznej w wieku poniżej lat 75, nie ma żadnego znaczenia i jest absolutnie niezrozumiałe. Nie ma go już nawet w szczątkowym języku slangowym, używanym niekiedy w środowisku muzyków współczesnych, chociaż są chlubne wyjątki. Znacomity muzyk jazzowy Zbigniew Namysłowski, wchodząc do sali, w której grał właśnie zespół muzyczny złożony z piętnastoletnich muzyków, już po chwili powiedział: „Ten klarncista jest dobry na risdum”. Nikt z osób towarzyszących mistrzowi nie rozumiał, co to znaczy. Autor tak. Miał odpowiedni wiek.

Risdum – nie ma nic ważniejszego od tej umiejętności w muzyce, zwłaszcza muzyce restauracyjnej. Risdumowcy grali wszystko z pamięci, natychmiast i przede wszystkim – dobrze. Takiego muzyka środowisko знаło i doceniało. Szef orkiestry, zbierając zespół „na gwizdek”, czyli aktualnie wolnych muzyków, zawsze szukał risdumowca. Taki potrafił zagrać wszystko, a ewentualne życzenie gościa, aby mu zagrać jego ulubiony numer, spełniał natychmiast. Jeżeli nie znał melodii, klient śpiewał muzykowi do ucha, a ten grał. Tacy to byli klezmerzy, ci żydowscy i inni, co na risdum wszystko pięknie zagrać umieli.

## **CHAŁTURA**

Wyraz pochodzi podobno z języka rosyjskiego i kiedyś oznaczał darmowe jedzenie i picie w domu zmarłego. Ogólnie znaczy tyle, co byle jaka praca, tandetna fuszerka, odtwórstwo bez wartości duchowych, ale finansowo opłacalne. Okazja do szybkiego zarobku. Chałtura zawsze miała konotację negatywną i cieszyła się złą opinią, nawet u samych wykonawców. Opinia to jedno, a dodatkowa, szybko zarobiona forsa – to drugie. Wszyscy woleli to drugie! Wolne zawody – lekarze, profesorowie, czy byli politycy – wszyscy kochają chałtury. Najbardziej jednak artyści! Nawet najlepsi biorą chałtury, choć prawdą jest, że nie wszyscy. Są tacy, co nigdy w takich przedsięwzięciach nie uczestniczą. Pozostali – też z tych najlepszych – lubią i biorą i nic to, że póź-

niej mówią: „E, to tylko taka łaźniorna<sup>7</sup> chałtura”. Jak wysoką wypłatę brali, to nic łaźniornego w tym nie widzieli? Ot chałturszczycy! Dawno temu, chałtura to było obrzydliwego, a jeżeli już ktoś uległ tej pokusie, to wstydził się tego i skrzętnie ukrywał źródło takiego dochodu. Zarabianie pieniędzy na chałturach było hańbą niezgodną z dumą – pozostałością romantycznych uniesień na styku artysta – sztuka. Wszyscy wielcy mieli w pogardzie zarabianie pieniędzy, a już tych z chałtury nigdy nie wzięliby do ręki. Umierali biednie i młodo. Niepotrzebnie. Gdyby choć trochę zachałturzyli, np. Cyprian Kamil Norwid nie zmarłby w przytułku i nie leżałby bezimiennie w zbiorowej mogile. Gdyby ci wielcy mieli choć trochę zmysłu do chałtury, nie musieliby sypiać na dworcach kolejowych i nie przymieraliby głodem. Wódki mogliby się napić za swoje. Obecnie chałtura jest już sposobem na życie i nikt tak zarabianych pieniędzy się nie wstydzi. Mało tego, chałtura jest powszechnie akceptowana i wielu artystów dorobiło się na niej niezłych pieniędzy. Pięknie i w urokliwym stylu opisała chałturę największa, ale i najsympatyczniejsza chałturyzistka, czyli Stefania Grodzieńska: „Chałtura – dodatkowa praca pozabawiona ambicji, a podjęta wyłącznie dla zarobku. (...) Aktor gra codziennie sztukę Brechta z dumą, a w Dzień Kobiet skecz Grodzieńskiej ze wstydem. To jest chałtura.”

## **TANIEC**

Panie muzykant, powiedz Pan, czy najpierw ludzie tańczyli, czy muzykanty grały? Co? To ci dopiero pytanie. Podchwytliwe? Też, ale konkretne i przez przysłowiowego wuja Bola muzykom, muzykantom i klezmerom często zadawane. Pytano tak – z nutką ironii – muzyka z restauracyjnej orkiestry tanecznej, zapraszając go do baru na kieliszek.

## **Co zatem było pierwsze taniec czy muzyka?**

Jest to jedno z pytań, które do dzisiaj nie znalazły odpowiedzi. Jajko było pierwsze czy kura? My rozstrzygamy – pierwszy był taniec i tego się trzymamy. Problem drobiu pozostaje dalej tematem do filozoficznych dywagacji. A było to tak: młoda piękność, skąpo, tylko w skórę króliczka przyodziana (było to parę tysięcy lat temu), koniecznie chciała swoją kobiecość zarosłemu obfitym owłosieniem myśliwemu pokazać. Wstała i różne wygibasy czyniąc,

<sup>7</sup> łaźniorny (z jęz. ros.) – zły, bez wartości, bez znaczenia

które tańcem nazywamy, bardzo liczyła na łaskawy wzrok młodzieńca. Niestety, mężczyźni zmęczeni całodziennym bieganiem z kamieniem w ręce za tym, co uciekało, zasypiali przy ognisku. Przywódca klanu, co przy ogniu stare kości grzał, dbać musiał o to, by przy jego ognisku większa gromadka zasiadała. Brał więc kij sękaty i w zwalony pień rytmicznie walił raz po raz, aby dziewczę lepiej się płasało, a przy tym snu owych młodzieńców pozbawiał. Wiedział, co robi. W następnych latach dziadek już nie siedział sam. Gromadka małuchów tłukła dla seniora orzechy.

Wniosek: najpierw był taniec, a później dopiero rytmiczne walenie, które do muzyki zaliczyć już możemy.

## MUZYKA

Od zawsze były tańce i była muzyka, która do tańca grała. Od sękatego kija i zwalonego pnia, poprzez bębny przeróżnej wielkości, prymitywne instrumenty, aż do współczesnej skomputeryzowanej muzyki oraz setki instrumentów muzycznych, używanych w formie elektronicznej. No właśnie. Czy to są jeszcze instrumenty muzyczne? Brzmią bardzo podobnie, a może nawet lepiej. Ale gdzie ten błysk mosiężnej poświaty i refleksy światła na pięknych puzonach czy na trąbkach ustawionych za nimi w równym rzędzie? Jak pięknie wygląda prawdziwa perkusja w całej krasie zestawu do muzyki knajpowej? Obecnie – nic z tych rzeczy. Zniknęły orkiestry. Niepotrzebne? Teraz siada sobie facet za komputerem, uruchamia program do cyfrowej obróbki dźwięków i na klawiszach MIDI podpiętych do komputera nagrywa po kolei wszystkie instrumenty. Ma do dyspozycji cały zestaw smyczków, całą blachę orkiestry, bębny, saksofony, harfę, nawet fletnie Pana<sup>8</sup> i co tylko zechce. W najprostszej wersji może korzystać z 128 instrumentów! Kompozytor ogląda film, do którego ma skomponować muzykę i gdy potrzebuje orkiestrę symfoniczną nie zatrudnia 50 muzyków. Nie robi prób z orkiestrą, nie kłóci się i... nie płaci grającym. Gra na klawiszach za każdy instrument, zapisuje i nagrywa na nośnik magnetyczny, niesie do wytwórni filmowej i... sam zgłasza się do kasy! Gdy musi być żywa orkiestra, zapisuje cały aranż w programie edytora nutowego i po sekundzie z drukarki wyłania się cała partytura, a za chwilę nuty dla każdego muzyka. Skomputeryzowany muzyk może też posłużyć się samplami<sup>9</sup>

<sup>8</sup> w jęz. polskim *multanka* – szereg połączonych ze sobą fujarek różnej długości

<sup>9</sup> sample – cyfrowe próbki różnych dźwięków do tworzenia muzyki w komputerze

i układać piękne melodie, grane na najlepszych instrumentach w salach o boskiej akustyce lub komponować wykorzystując loopy, czyli pętle gotowych melodyjek czy rytmów, sekwencyjnie je ustawiając jak klocki domina. Później to wszystko zarejestrować i ulepszyć, przy pomocy odpowiednich programów umieścić na nośniku magnetycznym wielkości małego palca i jako wizytówkę swojego talentu, zaprezentować tam, gdzie potrzeba. To wszystko Anno Domini 2010, a co będzie w roku 2060?

Nie wiadomo, czy będzie bardziej komputerowo, czy nie. Ci po nas może zateśknią za uśmiechniętymi gębami żywo podrygujących i przytupujących do taktu muzyków, trzymających w rękach pięknie lśniące instrumenty, w które dmą, szarpiają struny, czy walą pałeczkami w bębny. Strach pomyśleć, że za 50 lat – zgodnie z teorią rozwoju procesorów – na restauracyjnej estradzie stać będzie pięć cyborgów tak podobnych do poczciwych klezmerów z XX wieku, że nawet „boki” brać będą tak, jak ich żywi protoplaści. Wielka prośba: niech w tych maszynach zaprojektują jeszcze cyfrowe pamięci, które tradycję muzyków, muzykantów i klezmerów pozwolą kontynuować. Gdyby projektant nie wiedział, jakie – niech tę książkę przeczyta.

Przypomnijmy sobie, jak to w restauracjach, knajpach i wszędzie tam, gdzie grały orkiestry taneczne, muzyka spontanicznie integrowała ludzi. Niestety, to już przeszłość. Umarły dancingi i odeszli w niebyt danserzy – jak ujął to w nostalgicznym wspomnieniu, siedząc z autorem przy barze Andrzej Makowiecki, znany pisarz i muzyk.



## **Od początku do końca**

Już w styczniu 1945 roku parę dni po wyzwoleniu miasta grały w łódzkich restauracjach orkiestry taneczne. Może jeszcze nie te najlepsze, firmowane znamienitymi nazwiskami, ale również dobre, złożone z muzyków, którzy byli tu i teraz. Zapotrzebowanie na tańce w lokalach gastronomicznych było ogromne. Przez lata okupacji zabronione – teraz, jak najbardziej pożądane. Wkrótce prasa w swoich anonsach, a także plakaty – zresztą ręcznie pisane – wywieszane przed wejściami do łódzkich restauracji informowały, że właśnie w tym miejscu przez siedem dni w tygodniu grać będzie orkiestra taneczna. Zapraszają gości. W tym czasie nie było najważniejsze nazwisko kapelmistrza. Ważne było, że orkiestra jest i będzie w tej restauracji grała.

Wnętrza tych lokali, podobne do pałaców fabrykantów łódzkich – zresztą na nich wzorowane – były dla nowych gości jakby odrealnionym światem przepychu, do którego nie pozwolono im nawet zajrzeć przez wiele lat niewoli. Teraz przyszli, gra orkiestra, a oni tańczą! Muzyczny i radosny zawrót głowy po okupacyjnym koszmarze miał wymiar pełnego oszołomienia i wymazywał z pamięci – choć na tę chwilę – całe przeżyte zło.

Była też muzyka w restauracjach podrzędniejszych, gdzie i kapele pośledniejsze grały. Nie było tam kandelabrow ukwiecających sufity i ścian ozdobionych gipsowymi stiukami. Wykwintnych platerowanych sztućców też nie podawano. Grała natomiast orkiestra ubrana w białe koszule i z muszkami pod brodami. Instrumenty trochę mniej błyszcząły. Za to głośno było. Przy tamtym stoliku śmiali się wszyscy. Przy innym głośna, ożywiona nadmierną gestykulacją rąk dyskusja. Tam ktoś kogoś popchnął. W szatni pan rąbnął pana w zęby. Orkiestra grała, danserzy tańczyli, a ci przy stolikach śpiewali, bo akurat grali przedwojenny szlagier kabaretów warszawskich *Brawo, bis*, gdzie refren idealnie nadawał się do chóralnego knajpowego śpiewania. To była ich zabawa – miejska, podmiejska, ale i wiejska. W soboty i niedziele chodzili łodzianie potańczyć „na salę” – tak się mówiło. Występowały tam orkiestry

doborowe, przeważnie amatorskie, ale dla tańczących wspaniałe, najlepsze, bo grały utwory, które znali.

Łódź nie była zniszczona działaniami wojennymi. Wszystko, co mogło działać, zaraz działało! Usuwano w pośpiechu pozostałości administracji okupanta niemieckiego. Pojawiały się na mieście plakaty napisane po polsku. Czytało się je kilka razy, łączywie, jakby w obawie, że ktoś chciałby je zaraz zerwać.

Otworzono cztery kina i najważniejsze, że bez podłych napisów: „Polen verboten”. Teraz na seanse filmowe wstęp jest bezpłatny!

Przy ulicy Przejazd (ob. ul. Tuwima) czynna już jest restauracja „Tivoli”. Wielki plakat radośnie obwieszcza, że codziennie gra orkiestra Bolesława Krochmalskiego, a w czwartki oraz niedziele podawane są flaki! Parę kroków od ulicy Piotrkowskiej już czuć było wspaniałe zapachy z kuchni. Mieściła się ona w piwnicy pod budynkiem, a przez okienka tuż nad chodnikiem, można było zajrzeć do królestwa kucharzy. Restauracja „Tivoli” zawsze należała do lokali reprezentacyjnych w naszym mieście. Oryginalne wnętrze ze stylowymi me-



*Trio łódzkie w wojsku. Odgruzowywanie Wrocławia, 1953 rok.  
Zdjęcie archiwalne ze zbiorów Jerzego Kaźmierczyka*

blami i ciekawym oświetleniem w ozdobnych wnękach sufitowych dopełniały całości. Nikt nie zapomni bardzo oryginalnego, ze specjalnymi uchwytami, wysokiego na półtora metra... rzygownika w męskim WC. Nazwa niezbyt elegancka, acz adekwatna do czynności biologicznych, koniecznych w pewnych sytuacjach. Wymienioną tu porcelanę zaliczyć należy do reliktu czasów, kiedy to w każdym miejscu publicznym spluwaczki jeszcze stały. Restauracja ta miała własny ogródek z fontanną pośrodku i niespotykaną gdzie indziej muszlę koncertową. W niej to, oczywiście letnią porą, Krochmalcki ze swoją orkiestrą grał do słuchu, a po chwili – do tańca. Za płotem z drewnianych desek i na chodniku, zawsze stała grupa przygodnych słuchaczy, bo pięknie grała orkiestra. Mistrz Krochmalcki zatrudnił najlepszych muzyków w mieście. Część orkiestry pracowała w tej restauracji nawet w czasie okupacji. Miasto Łódź, przezwane, Litzmannstadt, wchodziło w skład Rzeszy Niemieckiej i administracyjnie należało do Warthegau, czyli Okręgu Warty. Znaczyło to tyle, że w Łodzi obowiązywało prawo Rzeszy, które znacznie różniło się od praw nadanych ludności Generalnej Guberni. Dla przykładu, w Warszawie



*Orkiestra Taneczna Bolesława Krochmalckiego, 1959 rok.  
Zdjęcie archiwalne ze zbiorów Jerzego Kaźmierczyka*

i Radomiu w restauracjach dla Polaków nie wolno było tańczyć. W Wartegau wolno było tańczyć tylko Niemcom. Łodzianom, w ogóle zabroniono wstępu do lokali, o czym informował groźny napis nad drzwiami do „Tivoli”. Zresztą nigdzie nie mieliśmy wstępu. Były wyznaczone trzy kina dla Polaków. Restauracji z orkiestrą nie było.

Orkiestra Taneczna Bolesława Krochmalskiego oficjalnie i prawdopodobnie jako pierwsza w mieście Łodzi w restauracji „Tivoli” tuż po okupacji hitlerowskiej grać zaczęła! Później to już polecało – jak mówił mistrz. Ambicje Krochmalskiego nie ograniczały się do grania tylko „do kotleta”, zresztą tak pogardliwe klasyfikowanie umiejętności odtwórczych muzyków restauracyjnych jest wielce krzywdzące. Oni umieją grać i są artystami. Na przekór takim fałszywym opiniom, orkiestra Bolesława Krochmalskiego w pełnym składzie grała też w Filharmonii Łódzkiej. Sala wypełniona była słuchaczami, z miejscami stojącymi włącznie. Oczywiście granie muzyki restauracyjnej w salach przeznaczonych również do konsumpcji kotletów schabowych niesie ze sobą określone perturbacje. Bywa czasami ta muzyka lekko sponiewierana. Nie tak zagrana fraza, niedbale zagrane triole, nieczysta intonacja w solowej grze Bolesława, owszem, zdarzały się, ale w jakich warunkach artysta musiał zmagać się z materią muzyczną? W knajpie nie panuje cisza, jak w sali filharmonicznej. Tutaj lud się bawi! Tańczą, podśpiewują, gadają jeden głośniejszy od drugiego. Piją. A co można robić w knajpie? Tańczyć, bo wspaniale Krochmalski gra i coś mocniejszego wypić, aby w głowie mieć szum.

Czy Krochmalski, muzyk znakomity, może odmówić – w czasie przerwy oczywiście – bardzo radosnemu gościowi, który oczarowany jest grą mistrza i prosi, aby udali się wspólnie do bufetu i wypili? Oczywiście gość jest fundatorem i mowy być nie może, aby kieliszek jakiegś tam zwykłej czystej był miarą uznania dla takiego artysty. Gość chciał mieć gest.

– Mistrzu! Jaka wódkę mistrz wypije? – pytał fundator, wskazując na pełne półki różnorakich i drogich wódek ustawionych na półkach miejscowego baru.

– Dużą! – odrzekł mistrz.

Raz tak się złożyło, że Krochmalski tego wieczoru w barze był nieobecny. Nazajutrz na tradycyjne spotkanie klezmerów w „Grandce” przyszedł lekko utykając.